



Władowi — mojemu bratu, z miłością

Trzeba mieć pecha

Trzeba mieć pecha.

To znaczy — nie trzeba w sensie musi — ale trzeba mieć pecha, żeby mieć tak jak ja. Kurde, panie ludzie, wiedziałem od rana, że dobrze nie będzie. Przeczuwałem to całym swoim jestestwem i dlatego nastawiłem dwa budziki, żeby wstać — na wszelki wypadek w telefonie i w pieprzonym ciężkim zegarku, który dostałem od matki, bo „twój ojciec bardzo go lubił”. Argument to jest żaden, bo mój ojciec lubił bardzo wiele rzeczy, których ja nie znoszę i znosić nie muszę tylko dlatego, że, cytuję: „twój ojciec byłby zadowolony”.

Od słuchania, jakim byłbym fantastycznym facetem, gdybym go choć trochę i w czymkolwiek przypominał, robi mi się niedobrze. Całe szczęście, że nim nie jestem, bo gryzłbym ziemię od dwudziestu lat.

Dzień mi się szykował ciężki: rano miałem pierwsze od kilku miesięcy spotkanie w sprawie roboty, a właściwie w sprawie powrotu do mojej prawdziwej roboty — o siódmej rano byłem umówiony w Magdalence w firmie produkcyjnej VicViva, która robi serial dokumentalny o nieletnich zabójczyniach.

Już o ósmej mieliśmy być w więzieniu, ale ich operator się rozsypał — był kobietą, zaszedł w ciążę i urodził dwa miesiące przed terminem. Na moje szczęście.

Z łapanek nie mogli znaleźć nikogo na już, a ja co prawda od dwóch lat kamery w rękach nie miałem,

w sensie zarabiania na życie, od czasu tej pechowej nagrody na festiwalu, ale w ciąży nie jestem, co tym razem okazało się argumentem za, a nie przeciw.

Ale tęsknić do kamery to tęskniłem i kiedy zadzwonił Gruby, żeby mi powiedzieć, że coś dla mnie ma, pomyślałem: teraz albo nigdy. I że to może znak — bo akurat w moje urodziny komuś się gleba pod stopami zaczęła palić i nagle sobie o mnie przypomnieli.

Musiałem — musiałem! — wstać o piątej trzydzieści! A niełatwo to zrobić, jak się kładziesz o pierwszej po pieprzonym cholernie długim dniu zakończonym czteropakiem, bo z Grubym trzeba było się spotkać i obgadać co i jak, a o suchej gębie nie zwykliśmy.

Więc komórka — czwarta trzydzieści, na wszelki wypadek, i budzik po tatusiu nakręcić, na piątą nastawić. Dwie godziny to świat i, ludzie, o tej porze korków nie ma.

Komóreczkę nastawiłem zaraz po spotkaniu z Grubym, żeby potem nie zapomnieć i, jak się okazuje, błęd. Budzikiem zająłem się natychmiast po przyjsciu do domu — chodził od chwili, kiedy mamusia mi go wręczyła, a mianowicie, nie zgadłbym powodu, w rocznicę powstania warszawskiego, o godzinie szesnastej:

— Żebyś pamiętał, że istnieją różne ważne sprawy, nie tylko ty.

Nikt cię tak nie wesprze jak rodzona rodzicielka.

— Twój dziadek walczył o wolną Polskę — powiedziała matka z namaszczeniem — i powinienes o tym pamiętać.

Różni dziadkowie walczyli o różne sprawy, co wiem z TV, jak robili lustrację naszych polityków, i nie uważałem, żeby to, o co mój akurat walczył, wiązało się bez-

pośrednio z dość ohydnyim zegarkiem, który głośno tyka, więc stoi w kuchni na szafce, bo w pokoju przeszkadza, jak człowiek chce spać. Ale proszę bardzo — przeniosłem dziada do łóżka, nastawiłem jak trzeba, pokręciłem pokrętelkami, trafiłem małą wskazóweczką na mniej więcej środek między piątą a szóstą i walnąłem się jak długi spać.

Zerwałem się na równe nogi jak oparzony, zanim zdążyłem zamknąć oczy.

W pokoju huczało i dzwoniło, jakby córkę sąsiadów dopuścić do zepsutej perkusji. Zanim zajarzyłem, o co chodzi i skąd ten potworny hałas, usłyszałem walenie w podłogę.

Mam pod sobą sąsiadkę — wyjątkową zmore. Głucha jak pień, kiedy do niej mówisz, i słuch absolutny, jeśli cokolwiek się dzieje nad jej mieszkaniem lub pod jej mieszkaniem, lub obok jej mieszkania. Wali szczotą na wszystko — Marta na obcasach raz przeszła do łazienki, to awantura była taka, że do dzisiaj buty od razu w przedpokoju zdejmuję, mimo że na obcasach nie chodzę.

Marcie wtedy mało rajstopy z nóg nie pospadały, przepraszała zołzę, ilekroć ją tamta zdybała gdzieś przy windzie. Piesek, mieszkający piętro nade mną, przeleci przez pokój — szczota w ruch i buch, buch, wszystko jedno, że przez moje mieszkanie ci sąsiedzi z góry są pouczeni. O muzyce nie wspomnę, o gościach tym bardziej.

Nienawidzę cholery.

Sąsiadów ogólnie mam w porządku, ten z góry jest nawet sympatyczny, kable mi pożyczył w grudniu do akumulatora, jak nie mogłem ruszyć, ale psa ma, że niech go szlag. Mogliby mu choć pazury obcinać.

Budzik, którego mój dziadek świętej pamięci na oczy nie widział, ale który to dziadek był ojcem mojego ojca, on zaś zdaniem mojej matki był ojcem budzika — u sąsiadki z dołu też wzbudził szczotę. Ona chyba z nią śpi, bo walenie było jednocześnie z dzwonieniem. Kobiety jednak są zboczone!

Budzik namierzyłem do razu, ale nie od razu umiałem go wyłączyć. Bo kto by wpadł na pomysł, że to trzeba ręcznie, znaczy — rękami, czyli zatrzymać tego fiuta, co napieprzał w oba dzwonki, wsadzając między nie palec! Ale jak cofnąłem palec, dalej napieprzało! Wepchnąłem kuchenną ścierkę, ale nie pomogło, tyle że terkotało trochę ciszej.

Wpadłem do łazienki i o mało nie wyrznąłem w kibel, bo potknąłem się o spodnie. Potem zacząłem myć zęby kremem do golenia, ja pierniczę, to dopiero szambo w gębie! Ktoś na głowę upadł, żeby w prawie takie same opakowania wsadzać jedno i drugie, za jaja bym powiesił! Lub za cokolwiek, bo jestem w stu procentach przekonany, że wpadła na to jakaś baba, bo tylko kobietom może przyjść do głowy wymyślenie tubek o takich samych rozmiarach, takich samych kolorach, z takiego samego plastiku. I co z tego, że jest napisane, co to jest? Malutkimi literkami, z drugiej strony?

Facet nie jest idiotą i nie czyta rano tubek, tylko ewentualnie zagląda do Internetu, czy jakaś wojna gdzieś w nocy nie wybuchła! Ale nie, zaprojektują identyczne, napisik mały i sprawdzaj, człowieku, jakbyś nie miał lepszych zajęć. Trudno opisać, co się z tobą dzieje, kiedy masz pełną mordę kremu do golenia, już nawet rozproszanego po siekaczach i trzonowych.

Dwadzieścia minut później próbowałem kawą zabić smak tego czegoś, co mi się jeszcze wałęsało po zębach, ale bez skutku.

Potem chwyciłem kluczyki do samochodu i zbiegłem z siódmego piętra na dół, bo winda od sześciu tygodni nie działa, ale lata mi to. Zdrowo i dla formy. Ludzie zamiast narzekać, powinni dygać po schodach na piechotę, toby mieli zdrowsze serca. A kobitki lepsze figury.

Na drugim piętrze przypominałem sobie, że nie wziąłem komórki, mało tego, uświadomiłem sobie, że nie zadzwoniła, skubana, dygnąłem więc z powrotem na górę, po dwa stopnie, i to już nie było takie fajne.

Na szóstym teraz jednak otworzyły się drzwi — cholerna Zmora w szarym szlafroku krzyknęła:

— Donos na ciebie złożę! Ty chuliganie!

Pokazałem jej w geście przyjaźni międzynarodowej środkowy palec skierowany ku niebu, bo człowiekowi wolno biegać po schodach, jak chce i może, i wpadłem do domu.

Przewróciłem mieszkanie do góry nogami — nic. Ani w łazience, ani w sypialni, ani w — pożał się Boże — salonie, ani w kuchni, na całych czterdziestu ośmiu metrach odziedziczonych w kredycie, z którym się bujam od pięciu lat, absolutnie żadnej komórki.

Czas uciekał.

Chwila moment, pomyślałem sobie, siadź spokojnie i się zastanów, kiedy ostatni raz...

Mam! Ostatni raz to ja sobie budzenie nastawiałem! W knajpie, kurna, w Wiosennym Wieczorze, w mordę kopanej! Była godzina zero zero trzydzieści osiem. Nie, nie, w knajpie tylko pomyślałem, żeby nastawić, jak wybie-

rałem polecenie „budzik”, byłem już w samochodzie. Na pewno w samochodzie. Ale dlaczego w samochodzie?

Czyli... czyli... skup się, człowieku, mogłem, mogłem, ale nie musiałem — zostawić ją w samochodzie. Tak, tak, bo skoro w samochodzie... W knajpie chciałem nastawić, ale nas kelner wywalił, bo było trzydzieści minut po zamknięciu... Więc na pewno w samochodzie nastawiałem ten cholerny alarm! Jak dziś pamiętam!

Bo to było dziś.

Ruszyłem w dół po dwa stopnie, czas uciekał, drzwi na szósty się otworzyły, ale jak strzała przebiegłem, tym razem nie zwracając uwagi na koszmara w szarym i na ostrzegawcze:

— Jeszcze pożałujesz!

Wielkie mi rzeczy!

Tyłu rzeczy żałuję, że jedna mniej, jedna więcej — bilans i tak jest na plus.

W sensie żałowania, czyli na minus w ogólnym rozrachunku, jak przez całe moje pieprzone życie. Ponieważ ja również, mimo że nie jestem prezydentem, mam plusy dodatnie i ujemne.

Nie muszę dodawać, że nigdy nie przechodziła owa Raszpla ze mną na ty.

Wychowanie!

Ci dzisiejsi starcy!

Wybiegłem przed dom, a dodam, że mieszkam w bloku, jakich na moim osiedlu jest szesnaście, i serce mi zamarło.

Bez wątpienia byłem przed swoim domem, widziałem swój parking, identyczny zresztą jak wszystkie parkingi na tym osiedlu, śmietnik stał po prawej jak zwykle, pryzmy śniegu od dwóch tygodni zalegały, tu i ówdzie

upstrzone żółtawym moczem okolicznych psów, samochody stały jak cię mogę, gdzie było miejsce i gdzie go nie było — ale...

No właśnie.

Żaden z nich nie był mój.

Po moim samochodzie ani widu, ani słychu.

Zrobiło mi się niedobrze i gorąco, mimo że na pewno było z minus piętnaście. Pal licha samochód, dostałbym więcej z ubezpieczenia, niż gdybym go opchnął komukolwiek w realu, ale komórka!

Dwa lata temu dostałem to cudo na urodziny od Marty — pewno mi chciała wynagrodzić aferę z *Lipą* — nie dość, że kosztowała fortunę, to miałem tam wszystkie kontakty, z trudem zbierane przez lata numery Bardzo Ważnych Ludzi, całą listę aktualnych klientów, dostęp do poczty e-mailowej, szlag by to trafił, i zdjęcia z ostatnich trzech wyjazdów z Martą, których nie miałem czasu przegrać na komputer — całe moje życie!!! A także Ostatnie Zdjęcie, przesłane mi przez Życzliwego, które, jak wiele innych rzeczy w moim życiu, odmieniło bieg historii. Może nie światowej, ale mojej, co na jedno wychodzi, umówmy się.

Jak rany! To zdjęcie teraz jakiś koleś ogląda, bo ma dostęp do mojej komórki, mojego całego życia, i śmieje się w żywe oczy, a ja nie mogę nawet zadzwonić do Grubego, że się spóźnię!

Miałem tam Martę w kostiumie, Martę w wodzie, bociana czarnego nad Wisłą, drozdy budujące gniazdo, ale mało co było widać, Martę na skuterze, Martę wszędzie, Martę ubraną i Martę śpiącą... Martę z... Brrr...

O, jak dorwę skurwysyna, to będzie swoich kawałków szukał przez następny kwartał, żeby się poskładać!!!

Załam totalny!

I czas, cenny czas! Muszę być w tej cholernej Magdalence, jeśli chcę, żeby moje życie uległo radykalnej zmianie na lepsze! Dwa lata czekałem, żeby durny los przestał mi kłaść kłody pod nogi, całe dwa pieprzone lata! Jedyna szansa powrotu do zawodu — jedyna, która nagle spada z nieba dzięki przyjaźni Grubego i cudzej ciąży, i to ja daję ciała???

Niedoczekanie!

Rozglądam się po parkingu, mróz jak cholera, cisza, spokój, ranek, a noc jeszcze, choć ludzie wymykają się już chyłkiem z domów i zachrzaniają na Górczewską, która łączy ze światem, bo tam najbliższe przystanki do miasta, ale na razie to wszystko jakieś takie niemrawe. Co ja mam robić?

I nagle mnie olśniło! Przecież się napiłem z Grubym! Owszem, wszystko się zgadza, komórka w samochodzie, tyle że samochód pod Wiosennym Wieczorem!

Kurde, panie ludzie!

Swoją drogą, co to za nazwa dla knajpy, gdzie głównie dają piwo, baba musiała wymyślić, w życiu facet by tak knajpy nie nazwał. Facet by nazwał Pod Dzwonem albo Setka i Galaretka, albo ewentualnie U Tadka, bo właścicielowi Tadzio. Ale Wiosenny Wieczór? Może Tadzio ma sezonową kobitkę? Zromantyzowaną, jak cała reszta tego babskiego świata. Nad Modrym Jezio-rem — tawerna i wiadomo, że to kobieta prowadzi interes. Po rozwodzie, rzecz jasna, z mężem, który musiał jej zostawić majątek. Karczma Zachodzącego Słońca — prowadzi facet pantoflarz, czuć na kilometr.

A my w Wiosennym Wieczorze zasiedliśmy wczoraj z Grubym w celu omówienia mojego powrotu na łono filmu po pierwszym piwie, po drugim — na łono braci

operatorów, po trzecim — do grona najlepszych operatorów filmowych, a po czwartym — do grona przyszłych operatorów z Oscarami na półeczce.

I dlatego właśnie dzisiaj o piątej rano stałem jak kulek na Woli, samochód zaś stał w Śródmieściu, a Zygmunt III Waza stał na Starówce.

Wracałem taryfą, wziąłem tylko torbę, no tak, siedziałem z dziesięć minut w aucie i czekałem na taksówkę, bo zimno było jak pieron, a Gruby poszedł do domu, bo cwanie się ze mną umówił pod swoim, a nie moim domem, na moje nieszczęście!

Komóreczka została w samochodzie, z nastawioną opcją budzenia na piątą trzydzieści. Pobłogosławiłem w myśli zegarek i ojca i ruszyłem z powrotem na swoje chrzanione siódme piętro, żeby ze stacjonarnego zamówić taksówkę do Śródmieścia.

Po dwa stopnie, z zadyszką, wbiegałem na górę, cholerny świat, cholerna zepsuta winda, żeby ich wszystkich pokręciło! Co oni myślą! Że człowiek, kurna, ma motor w dupie, żeby zapierdzielać na piechotę przez sześć tygodni?

Na szóstym piętrze w drzwiach stała Szara Zmora.

Nie miałem szans — nie obronisz się, jeśli nie wiesz, jakie podstępne są kobiety, nawet te, które powinny leżeć w grobie od stu lat — prosto w twarz dostałem zjełczalą wodę po kwiatkach — Zmora wykonała błyskawiczny cios wodą i zatrzasnęła drzwi!

Zostałem na klatce schodowej na szóstym piętrze w mokrej kurtce, śmierzący, z gównianą wodą ciekącą mi z twarzy na sweter!

Wpadłem do domu, rzuciłem się do telefonu, zamówiłem taksówkę, całe szczęście, że będzie za chwilę,

ranek, o tej porze nie ma wielu zleceń, ściągnąłem z siebie kurtkę, sweter, koszulę — zielone farfocle oblepiały to wszystko. I moją głowę.

Ja piernicze, piernicze, piernicze!

Jak ludzie mogą być tacy podli! Bo co? Bo niektórzy muszą wstać do roboty o piątej trzydzieści? Bo muszą biegać po schodach, mimo że to nie oni zepsuli tę cholerną, pieprzoną, wypindrzoną w kosmos durną windę???

Zmyłem z siebie to lepkie szambiaście i wywaliłem pół szafy na podłogę, żeby znaleźć coś, w czym będę się prezentował równie dobrze jak w poprzednich, starannie dobranych ciuchach.

Ale wiele w tej szafie nie było, bo pranie wiozę do matki dopiero w przyszły czwartek, a to był mroźny początek piątku.

Jak rany, tylko się podpalić i ugasić sobie głowę ciężkim młotem! Piękny początek moich urodzin. I całej reszty mojego życia!

Zbiegłem na dół, z trudem powstrzymując się, by po drodze nie przykopać w drzwi Szarej Zmory.

Taksówkarz spojrzał na mnie przez lustro i zapytał:

— Do domku o tej porze się wraca, co?

— Zupełnie pan nie trafił — powiedziałem, bo byłem lekko podkurzony.

— A co, humorek nie dopisuje? — ostro skrzył, że o mało nie wyrzuciłem głowę w drzwiczki.

Postanowiłem nie wchodzić w konflikt, tylko w kontakt.

— Trochę wypilem z kolegą, wóz zostawiłem na mieście.

— Aaaa — ucieszył się taksówkarz. — Rozsądnie, rozsądnie.

— Muszę być w Magdalence o siódmej — podtrzymałem konwersację, nie wiedzieć po co.

— A to mogę pana od razu do Magdalenki, za kurs się umówimy poza licznikiem — ucieszył się. — Miałem kończyć na panu, ale mogę pojechać.

Kończyć na mnie? Też mi coś. Jeszcze się dzień nie zaczął na dobre, a ja już byłem wykończony.

— Dzięki, ale mam samochód.

— I będziesz pan wsiadał za kółko w takim stanie? — Aż lustro wsteczne na mnie skierował i odbiły się w nim jego oczka, rozpalone nagłym błyskiem nadziei na dobry początek tego niedobrego dla mnie dnia.

— W jakim stanie?

— No coś pan — zachichotał — lustra pan nie masz? Widać na kilometr, żeś pan wczorajszy.

Owszem, głowę miałem mokrą, bo przecież musiałem splukać z siebie to świństwo, którym mnie łaskawie uraczyła sąsiadka, ale żeby od razu wczorajszy?

— Nie, dziękuję — powiedziałem — nie piłem dużo.

— Panie, myśmy też kiedyś ze szwagrem niedużo wypili — zachichotał i przejechał na żółtym — a obudziliśmy się pod Wrocławiem, w pospiesznym, ja to, panie, znam, ja też się lubiłem zabawić, jak młodszy byłem, teraz to cukier mam podwyższony, człowiek uważać musi, ale ja swoje przeżyłem, to młodość rozumiem.

— Nie piłem dużo — powtórzyłem i poczułem się tak, jakby tę taksówkę prowadziła moja matka.

— Panie, wezmą na badanie krwi i prawko rok kibluje u nich, ja do Magdalenki mogę pojechać za stówkę, a pan będziesz spać spokojnie. Nie policzę panu nocnej. No?

— No nie — odpowiedziałem i zobaczyłem, jak mu twarz tężeje.

— Nie to nie. Zachęcał nie będę. Ale się pan zastanów. Dobrze się pan zastanów. Szwagrowi kiedyś zabrali prawko. Jedno to mu zabrali na rok, a tylko dwa piwa wypił, no, może trzy, a drugie od razu potem, jak obławę w Wołominie robili. Przypadkiem. To jest, panie, pech! Oba prawka w jednym roku!

— Fabryczkę miał?

— Panie, każdy orze, jak może! A pan co, z policji jesteś?

— A wyglądam? — powiedziałem ugodowo. Zachichotał.

— No nie, pan w ogóle nie wyglądasz. Bardziej to już na strażaka, boś pan mokry jeszcze i taki niewyględny. Ja nie namawiam, ale za osiem dych pojadę.

— Dzięki, ale nie.

— A to już jak pan chcesz. Chciałem dobrze. — Odpowiedział i zamilkł, widać urażony, bo ponownie skierował lusterko na drogę.

Warszawa wcześniej rano jest jeszcze pusta, oparłem głowę o siedzenie i przyglądałem się światu. Był dziwny o tej porze, niby spał, a już się budził, w oknach zapalały się światła, nierównomiernie, jakby ktoś losowo wybierał przyciski, tramwaje przemierzały puste ulice, mróz skrzył się wokół latarni, przymknąłem oczy. Adrenalina powoli opadała, pięć minut spokoju mi się należało.

Otworzyłem oczy dopiero, kiedy taksówka stanęła.

— Jesteśmy na miejscu — usłyszałem — trzydzieści dwa.

Jęknąłem.

— Nocna taryfa — mruknął.

Podąłem stówę, jedyne pieniądze, jakie miałem, i czekam.

— Drobnych pan nie masz?

Miałem, ale w tamtej kurtce, tej nie noszę, bo jej nie lubię, chyba że mi ktoś zajzajerem obleje tamtą. Ale znam dobrze te teksty, nie mam drobnych, zawsze liczą na to, że dasz się nabrać albo machniesz ręką.

— Nie mam.

Podał mi pięć dych i dychę, więc czekam.

— Nie wiem, czy ja będę miał — powiedział, ale już byłem wkurzony i postanowiłem mu przypomnieć, że przecież całą noc jeździł.

Spojrzał na mnie nienawistnie.

— To moment. — Już ani wesoły nie był, ani przyjazny.

Wyjął jakieś pudełko i zaczął w nim grzebać. Limit mojej wielkoduszności na dziś został wyczerpany. Czekalem cierpliwie, nikt mnie w konia od rana nie będzie robił.

— Jeden, jeden pięćdziesiąt, dwa pięćdziesiąt, trzy — odliczał głośno, powoli, starannie, drobiazgowo i marudnie. Mój ukochany stary samochodek stał sobie spokojnie dziesięć metrów dalej, więc zacisnąłem zęby i czekałem.

— O cholera! Jeden, dwa, dwa pięćdziesiąt, trzy dwadzieścia, cztery, cztery pięćdziesiąt, pięć...

Jęknąłem.

— Pan mi pomyliłeś. — Taksówkarz zsypał z powrotem drobne do pudełka i ponownie zaczął je wybierać. A mnie powoli zaczęła zalewać krew, ale nic to, postanowiłem wytrzymać.

— Dwa pięćdziesiąt, trzy, cztery...

Czekałem.

— Pięć, sześć, sześć pięćdziesiąt...

Czekałem, a czas mijał.